

Gdzie zaczyna się głowa. Myślniki

„I tak to się dzieje, że jedno wzgórze ciska mnie o drugie, miotają mną dwie krainy
niby plewami na sicie.

A ja biegam, ganiam między jedną a drugą, i nic na to nie mogę poradzić, całkiem
się poddaję.

Jeden raz poczułem, że powali mnie to miotanie na ziemię i nie zdołam się pod-
nieść”.

István Szilágyi, *Dudni kamień, dudni*

– Oż ty chuju garbaty, obys nigdy zębów nie domył, z papy smrodu nie wygnął!
Po tym, jak tyleś tego wypłuł, powinno przeżreć ci gardło! Od twoich kłamstw do dzi-
siał strasznie trąci mi dywan, tak, ten tutaj, na który spadły ich parujące, oślizgłe bryły.
Bezpowrotnie utracona wyrazistość wzoru, nieodwracalnie skażona czystość pokoju, raz
na zawsze zapleśniałe niebo moich nocy – przepadło wszystko! Jedną serią z kulomiotu
gęby obróciłeś ten porządek wniwecz, chuju zgarbiony!

– Ani kroku bliżej, ani słowa dalej! Sam z nimi przesadziłem, za dużo tego było,
za dużo prób, za dużo porażek, nie, dość tego, dość tych marzeń o połączeniu, dość
już! Wszystko marność, cienka linia przebiega między tym, co jest, a tym, czego nie ma,
pergaminowa, ledwie widoczna, z drugiej strony są te szalone potrzeby przejścia, wyjścia
z tej przeklętej samotności do świata, do drugiego człowieka, do rzeczy, a tu nic z tego,
bo świat sypie się w oczach, kruszy z chwili na chwilę, gdzie nie sięgnąc wzrokiem, tam
przepływa przez źrenice coś, czego już nigdy się nie odzyska, przepada raz na zawsze,
rozumiesz, umiera na ulicy, zupełnie na widoku, bez certolenia, a tego procesu nijak
nie odwrócisz, ale możesz zaśmiecić bluzgiem, zahukać wyzwiskiem, oczernić tę żądzę
zblżenia, zagadać tę naiwną wiarę, głupią, głęboką, choć tyle razy rozwiewaną, przy-
cinaną w chuja, bo przecież się nie da, po co te starania, i tak do mnie nie przejdiesz,
i tak nic nie pomożesz, ani sobie, ani mnie, na takie coś to ja mam te ręce i ten jad
w gębie, i walę, i strykam nimi po łbie, gdzie popadnie. Kurwa! Nie rozumiesz?! Takiej
metafizyki, jaka ci się przyśniła, nie ma, a przynajmniej nie ma jej dla nas, pojmujesz
ty to? Dozują nam ją jak przyszłość, po kropelce, mimo że chciałoby się więcej, strumie-
niem, tyka choćby, ale nie, porcjują nam to nieznośnie skąpo, a przecież wiemy, że tego
jest w bród, że ta kropelka zniknie w morzu, ba, w oceanie naszych potrzeb, a my, kurwa,
pozostaniemy nienasytzeni, ciągle będzie nam mało. Dlatego walę z całej siły, okładam

papą zgnilizny, obryzguję błotem, żeby się wynieśli, odsunęli, żeby patrzyli z daleka, ci, co mnie tu szarpać za serce przychodzą płytko pod koszulką, o nie, już więcej się nie dam, ja się obronię, opancerzę się!

– Ty kawałku ścierwa! Nie kiwaj mi tu łapskami, jak do ciebie mówię, nie zastaniam odganianiem własnego smrodu! Z takimi gadkami o jakichś tam mechanizmach obronnych, czy jak ty to nazywasz, to do zakładu dla nadwrażliwców się udaj, zamiast wciskać mi tu ten ropiejący kit! Wszystko ci w oczach umiera, hę?! Tak to widzisz, cwaniaczku, co?! Pęka ci cienki pergamin rzeczywistości, cioto jedwabista, co? No to posłuchaj mnie ostatni raz, trzcino złamana! Są rzeczy, które rozkładają się o wiele wolniej niż to twoje pokraczne ciało, są rzeczy, które nieprzyjemnie trwają dłużej niż twoja znikoma obecność, czy to w moim domu, czy gdziekolwiek indziej. Przyłazłeś tu do mnie wczoraj i zaczęłeś walić kity o swoich podbojach miłosnych, tak? O podbojach, co tylko twe, kurna, zakichane przeczucie wzmagają, że ludzie połączyć się ze sobą nie mogą, tak? A potem mówiłeś, jak to bezwstydnie i bez żenady wyróżnąłeś jakąś nieznaną panienkę ze wsi, chociaż ja w ogóle nie chciałem tego słuchać, uszy mi wiodły od tego twojego chamskiego gadania, jak to bez szacunku, jak to z zaciętymi i spienionymi ustami kiwałeś się jak huśtawka dla nieletnich. W ogóle nie chciało mi się patrzeć na tę twoją wykrzywioną z drwiny gębę, kiedy opowiadałeś, jak to cynicznie szukasz ich w internecie, polujesz, a potem bez żadnych skrupułów przez różne otwory ciała dokonujesz zemsty na świecie, który olał twoje wygórowane żądania, który wypiął się na twoją gigantyczną potrzebę metafizyki. Przyszedłeś tutaj, wspiąłeś swoje zaburzone trawienie na to dwunaste piętro, usiadłeś za stołem rozkraczony, z brudnymi skarpetami, z żałobą za paznokciami i gromkim śmiechem, aktorsko zaczesując przeredzoną czuprynę rockersa, zaintonowałeś narrację o tym, jak to gigantycznym prąciem o nieskończonych możliwościach wytrysku gruchotałeś miednicę jakiejś nastolatki, a ja cię słuchałem ze zdziwieniem, nie przeszkodziłem ci i to był mój błąd, teraz to wiem, nie przerwałem tej efekciarskiej tyrady, tej opowieści frykcyjnie spoconej w kroczu, tylko nalałem ci kawy, jak na kolegę przystało, a potem, jak już skończyłeś, umyłem po tobie szklanę, a kiedy wyszedłeś, na odchodnym zwierając się ze zmartwienia, dzieląc się tym swoim głębokim rozczarowaniem, że nie ma komunii dusz i zostaje tylko niewzruszone kołysanie łędźwiami w tył i w przód, wtedy próbowałem umyć po tobie resztę, ale się nie dało. Rozumiesz?! Nie dało się. Wstałem dzisiaj rano, a na stole, za którym siedziałeś, na obrusie, zobaczyłem kwitnącą palmę z gówna, zajrzałem od spodu, gdzie ma korzenie, patrzę, przeniknęła blat i przebiła się do sąsiadów, przeszła cały pion mieszkań, minęła wszystkie piętra i przywarła do śmietnika w klatce schodowej na dole. Tam połączyła się ze swoim początkiem. To były twoje słowa, wiedziałem od razu, te, co wypadły z gęby niemytej, tej jamy z kikutów po mleczakach, nie miałem żadnych wątpliwości, spotkała mnie kara za to, że ci nie przerwałem, że się łudziłem, pójdzie sobie, wymyję, wyczyszczę, ale nie, po tobie nie dało się sprzątnąć, po tobie zostały słowa. Twoje słowa to rzeczy, osrane królu ściemy, rzeczy niezmywalnie przesiąknięte zastałym potem twoich skarpet. A do tego, kiedy jakimś cudem zawarłem to wszystko w jednym esemesie, kiedy udało mi się wystać do ciebie wiadomość,

że nie mogę wymazać twoich grzechów porozrzucanych po moim mieszkaniu, wtedy odpisałeś: „Bezwzględny dyktatorze, zamordysto mojej duszy, kacie odmienności, dlaczego mi to robisz? Czyż nie widzisz, że płonę?!”. Otóż nie, dostawco fetoru, nie widzę, że płoniesz. Dla mnie już spłonąłeś. Nie ma cię.

– No racja, bo poza miednicami tych naiwnych lasek mnie nie ma. Właśnie o to chodzi. Tylko tam czuję, jak nabrzmiewa moja obecność, jak się rozpycha, tworzy nowy porządek. Ale długo nie da się tego wytrzymać, więc wracam pod stalowe, przerażające niebo z niskim, spuchniętym podwoziem, gdzie nie można czuć się bezpiecznie, w ogóle nie można się czuć, pod takim ogromem człowiek niknie, rozrzedza się jak cirusy na wietrze. Ale kiedy przedawkujesz niebyt, znowu schodzisz głęboko do podziemi, gdzie słowo „fizyczność” staje się ciałem, w ciemnych otchłaniach dziewczęcych trzewi jesteś jak górnik w najodleglejszym szybie, otoczony materią, którą powoli urabiasz, kształtujesz, dzięki niej jesteś. A potem wychodzisz na powierzchnię, otrzepujesz kurz z sandałów swoich i znowu wracasz na górę. Kursujesz w tę i we w tę, byleby nie zwariować, byleby się kręcić, nie ugrzązczyć w bezruchu, setny raz wjechać na swoje dwunaste piętro, usiąść przy oknie i patrzeć z góry na miasto, zabijać je spojrzeniem, a potem znów się obsuwać. Ja tak przychodzę do siebie, właściwie dojeżdżam windą, klucz mam w lewej kieszeni spodni, wyciągam go prawą ręką, przekręcam w dziurce trzy i pół razy, potem w zaadaptowanej z pralni kawalerce, łudząco podobnej do tej twojej klatki, przebieram się w dres, wyciągam papierosy, zaparzam kawę i siadam, patrzę przez okno, wciągamy dym i się rozpuszczam, petuję się na linoleum posadzki, razem z popiołem papierosa strząsam ten górniczy pył z dołu, swoją przeszłość z wnętrza ziemi obracam wniwecz, wypłukuję ją kawą, wypieram obrazami osiedla pode mną, znowu powoli przestaję istnieć. Jedynie w takich chwilach czuję, jak odpada ze mnie ta człowiecza skorupa, przeszłość, przyszłość, teraźniejszość przestają się liczyć, moja cielesność staje się abstrakcyjna, idee, myśli wydają się niepotrzebnymi przeszkodami, wolność zastępuje wszystko wokół, wypycha mnie poza słowa. Czasem tylko ból przewraca mnie na ziemię, od jego łaski i niełaski zależy, kiedy znów wrócę pod spód, to on mi przypomina, że, póki żyję, nie może mnie nie być, że czas i przestrzeń to nie to samo, że trzeba wrócić do wymiarów, zmysłów, opisów. Wtedy znów widzę i nazywam: za oknem nadal mży, chmury wiszą tuż nad dachem bloku, raz po raz śmiało zstępują niżej, pomarszczonym podbrzuszem wyzywająco ślizgają się tuż nad miastem, delikatnie dotykają jego górnych koniuszków, prostują kutasy wieżowców i kominów, w uliczki wpuszczają swoich mglistych emisariuszy – strugi gazu, które przytępiają światło, pozwalają złapać w garść przestrzeń i zobaczyć smugę czasu. Ale na ludzi niebo już nie działa, na ludzi działa obniżone ciśnienie, które dusi pożądanie i zwiesza głowy. Można to wszystko oglądać w nieskończoność, a to paraliżuje, więc zamykam okno, gaszę papierosa, wylewam się z fusami do kibla i spływam w czarną noc.

A tam cuda na kiju. Non stop musisz zadzierać nosa, bo inaczej stracisz z oczu Boga. Wiesz, o co chodzi. Jesteś jak wysłannik najwyższej instancji wśród upodlonej wielkomięskiej swoloczy. Ale właśnie tylko to bydlę trze kurz ziemi tak, że da się coś usłyszeć,

że w końcu z zewnątrz coś do ciebie przebija. Właśnie to szuranie, jak nic innego, wypełnia najodleglejsze zakamarki umysłu, uruchamia jakieś hormony czy enzymy, chuj wie co, w twojej bani tworzy się mieszanka serotoniny, melatoniny i dopaminy, rozplywa się po całym ciele, rozchodzi po członkach, dociera do najmniejszych komórek, rozsadza je energią i rwie do działania. Normalnie strzelasz z armat, stary, jesteś uzbrojony po zęby i ruszasz na misję. Wchodzisz do pierwszej z brzegu, trzeszczącej w szwach knajpy, gdzie muzyka zagłusza myśli, wygania je, przepędza w pierony, za drzwi, won, kopa refleksji sprzedaje, a ludzi z kolei gładzi tępym ostrzem, to znaczy szarpie ich niemiłosiernie w tę i z powrotem, szamoce, ale oni, przez to, że pod czaszką gwizdże im wiatr i niesie się echo, myślą, że te przyłożenia ostami dźwięków to pieszczoty, przyjemne głaskanie, ciu–ciu–ciu–ciu, bara–bara, takie tam łaskotania, mizdrzenia i podbieliżniane smyrnia. A ty stajesz na środku parkietu, rozpuszczasz swoje długie włosy, podnosisz ręce do góry, zaciskasz pięści, ale jeden palec wskazujący trzymasz wyprostowany, srożysz się, marszczysz brwi, zaciskasz zęby, napinasz wargi, spode łba opętany wzrokiem mierzysz wszystko wokół, smagasz wzrokiem spocone ciała, paralizujesz spojrzeniem, hipnotyzujesz je w tym ich chocholim tańcu, dyktujesz im rytm korowodu śmierci...

– Śmierdzi chyba, cymbale. I to tobie z papy. O czym ty w ogóle mówisz, co za głodne kawałki mi tu sprzedajesz. To są twoje spaczone wizje, lisku koło drogi, twoje marzenia, które żyć mogą tylko dzięki takim naiwnym słuchaczom jak ja. Przekuwasz swoje żądze w słowa, wyrzucasz je z siebie jak kule z kałasznikowa, tylko po to, żeby zagadać swoją bezsilność, koziołku matołku, żeby ze słów upleść gęstą fikcję, przez którą nie przebija prawda. Nawet to twoje nawijanie o małolatach i ich łamanych miednicach to tylko filcowa tarcza obronna pluszowego misia uszatka wśród żelaznego oręża robotów transformers.

– No to żeś porównanie znalazł, niech cię chromy kopnie! Miś uszatek to ty jesteś, i to z oklapniętym nie tylko uchem, martwy kapucynie! Przecież tak naprawdę to, co mówię, sprawia ci przyjemność, wchodzi pod skórę, przeży ją, przesywa perwersyjnym dreszczem, ożywia zwiędłe członki. Ty tego nie masz, nie masz na to odwagi, nie masz do tego elastyczności, marzy ci się takie rozpięcie doznań, taki diabelsko-anielski młyn emocji, huśtawka nastrojów, dryf między naczyniami połączonymi *id*, *ego* i *superego*, imponuje ci ten mój nieustający eksperyment na własnym ciele i duszy, to autolaboratorium istnienia, ślinisz się na samą myśl o możliwościach, które ja przekuwam w czyn, a które dla ciebie na zawsze pozostaną trybem przypuszczającym, ponieważ na drodze do ich urzeczywistnienia zawsze stać będzie twoja pozorna niezłomność moralna, wstydlive zastanianie cienistych plis twojej gładkiej, jasnej, jednoznacznej osobowości. Sam dobrze wiesz, ile w tobie grzechu, nerwowo, w pośpiechu czynionego pod grubą kołdrą bigoterii, tak żeby, broń Panie Boże, brońcie zastępy aniołów, nikt się nie dowiedział, żeby czym prędzej zapomnieć o winie, unicestwić ją raz na zawsze, było, minęło, nie, najlepiej nie było w ogóle, co złego, to nie ja, czyste sumienie, czyste ręce, podniesiona głowa, miotanie pogardliwych spojrzeń na tych, co błędzą w amoku, co się zataczają, nie radzą sobie z krokiem, na tych zrozpaczonych wariatów z wystającymi spod

ufajdanego swetra przepoconymi słabościami, obnażonych, żałośnie mocujących się z życiem, o trzeciej trzydzięci nad ranem szarpących drzwiami do pożywnego baru mlecznego, krzyczących w niebogłoty: „Zupy, proszę talerz zupy! Pomidorowej, z makaronem...”, i coraz ciszej: „z makaronem, jaki mama robiła...”, a potem łkając, z przerwami na tyki krokodylich łez: „Ma–ma, maa–maa, aaa–aaa, a–a–a–a...”, urywany jęk zapowietrzonego silnika, bezsilne uderzenia pięściami o szybę z pleksiglasu, zwieszanie zafawionej gęby, osuwanie się na ziemię przy akompaniamencie bezgłośniego płaczu. Tymczasem ty dumnie stoisz z boku, wyprostowany jak topola, pod arkadami stabilnego światopoglądu patrzysz na to z udawaną obojętnością, bo tak naprawdę sam byś czasem doprowadził się do tego stanu, na nice przewrócił swoją przyglądaną powierzchowność i odwróconym do góry wnętrzem wyśmierdził światu truciznę swoich trosk. Boisz się głęboko upchanych demonów, boisz się, że wyjdą z cienia, nie tylko cię skompromitują, ale zupełnie wezmą w posiadanie i nie będą chciały oddać. Mnie słuchasz, patrzysz na mnie, przyglądasz mi się, kolegujesz ze mną, bo we mnie widzisz siebie, jestem tobą, wcieleniem twojej potencjalności, bryłą zmineralizowanego kurzu z dna twoich lęków, dzięki mnie widzisz je z odległości, brzydzisz się, ale i zwyrodniale zachwywasz, chciałbyś podejść bliżej, ale nie możesz, bo przecież oni patrzą, oni słuchają.

– No właśnie, przynajmniej słuchają, w przeciwieństwie do ciebie zwracają uwagę na innych, a ty gadasz tylko ze sobą, wszystko, co opowiadasz, mówisz o sobie i dla własnej przyjemności, siebie umieszczasz w centrum historii, choć nie jesteś pępkiem świata, co najwyżej pępkiem Adama podającym w wątpliwość całą katolicką teologię, stawiasz się w pozycji bohatera, pozytywnego, negatywnego, wszystko jedno, byle być w środku, skupić na sobie wzrok innych, obstarwić się wianuszkami życiodajnych klakierów, byle lewą ręką klepać się po prawym ramieniu, a prawą gładzić lewy policzek, jedną półkulą wyrażać podziw dla drugiej i tak dalej, i tak w kółko, a wszystko to w asyście chóru pochlebców, który w przerwach na oddech króla gawędy, w czasie tych słynnych antraktów na teatralne zaciągnięcie się papierosem i samozadowolone zmrużenie oczu zgodnie skanduje najlepsze kawałki z życia guru, niczym motta z baśni tysiąca i jednej nocy melorecytuje co lepsze jego hasła, z bezkrytyczną aprobatą powtarza ekstatyczne prawdy mistrza, dajmy na to *ruchać, jebać, nic się nie bać* albo *coś panu z buzi wypadło i jeszcze paruje*, albo *coś mnie drepce po torebce*, albo *swędzi mnie wór*, *będzie zmiana chmur*, albo *która godzina?* – *też bym się napił*, albo *nie piję*, *mam spektakl*, albo *z młodej piersi się wyrwało*, albo *jeśli to ma być kawa, to równie dobrze szczyzny mogą być koniakami*, albo *ta debilka ciskała się tak, jakby skończył się jej w mózgu jakiś związek chemiczny*, albo *drobny jeżu*, *a nasz panie*, albo *potem już przychodzą*, *bo ich żony*, *wszystkie*, *wypluwają spermę*; *jakby nie wszystko jedno*, *z czego będzie gównno*, albo *ą*, *ę*, *dupa przez erzet*, albo *była prawie druga w nocy i właśnie skończyłem przeglądać porno w internecie*, albo *Matko*, *wyrzuciłem siebie na śmietnik*, albo *Ojczy*, *czy nie widzisz, że płonę*, albo *zupy*, *proszę talerz zupy*, albo...

– ...Oż ty chuju garbaty, obyś nigdy zębów nie domył, z papy smrodu nie wygnął!

Świadomie wykorzystane cytaty z literatury pięknej:

1) Wyrażenie „chuj garbaty” – Gheorghe Crăciun, *Pupa Russa*, „Literatura na Świecie” 2008, nr 5–6, s. 11.

2) „Jeśli to ma być kawa, to równie dobrze szczynty mogą być koniakiem” – Petru Cimpoeșu, *Szymon Windziarz*, *Literatura na Świecie* 2008, nr 5–6, s. 62.

3) „Potem już przychodzą, bo ich żony, wszystkie, wypływają spermę. Jakby nie wszystko jedno, z czego będzie gówno” – Attila Bartis, *Spokój*, W.A.B., Warszawa 2005, s. 62.

4) „Tylko ta debilka ciskała się tak, jakby skończył się jej w mózgu jakiś związek chemiczny” – Andrzej Stasiuk, *Taksim*, Czarne, Wołowiec 2009, s. 116.

5) Motto: „I tak to się dzieje, że jedno wzgórze ciska mnie o drugie, miotają mną dwie krainy niby plewami na sicie. A ja biegam, ganiam między jedną a drugą, i nic na to nie mogę poradzić, całkiem się poddaję. Jeden raz poczułem, że powali mnie to miotanie na ziemię i nie zdołałem się podnieść” – István Szilágyi, *Dudni kamień, dudni*, Pogranicze, Sejny 2001, s. 47.



Jana Bečková